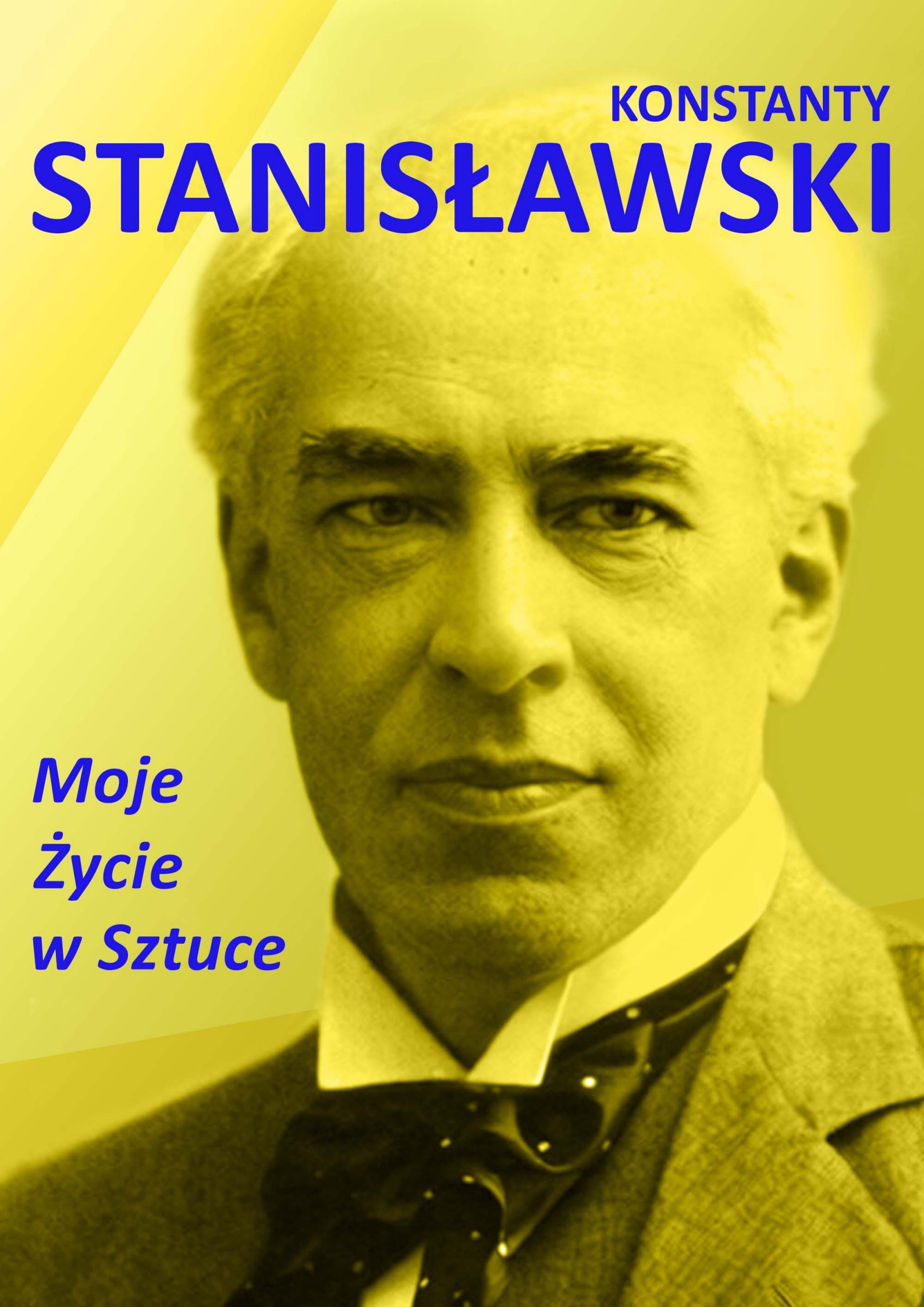


A close-up portrait of Konstanty Stanisławski, an older man with light hair, wearing a suit and tie. The image has a yellowish tint. The background features a diagonal yellow and white stripe.

KONSTANTY STANISŁAWSKI

*Moje
Życie
w Sztuce*

Konstanty Stanisławski

MOJE ŻYCIE W SZTUCE

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2026

ISBN: 978-83-68790-44-3

Tłumaczenie: Zofia Petersowa

Tytuł oryginalny: Моя жизнь в искусстве

Tekst: PIW, Warszawa (1954)

Na okładce: Konstanty Stanisławski około roku 1900

E-book zgodny z Europejskim Aktem Dostępności EAA

SPIS TREŚCI

DZIECIŃSTWO ARTYSTYCZNE

Upór
Cyrk
Teatr lalek
Opera włoska
Fidle
Nauka
Teatr Mały
Debiut
Aktorstwo w życiu
Muzyka
Szkoła dramatyczna

MŁODZIEŃCZOŚĆ ARTYSTYCZNA

Kółko Aleksiejewskie (Operetka)
Konkurent
Interregnum (Balet – Kariera operowa – Amatorstwo)

MŁODOŚĆ ARTYSTYCZNA

Moskiewskie Towarzystwo Sztuki i Literatury
Pierwszy sezon (*Operacja*)
Szczęśliwy traf (*Grzegorz Dyndała*)
Opanowanie (*Gorzka dola*)
Dwa kroki wstecz (*Kamienny gość – Intryga i miłość*)
Gdy grasz złego – szukaj w nim dobroci (*Samowolni*)
Role charakterystyczne (*Panna bez posagu – Rubel*)
Nowe zdumienie (*Nie żyj tak, jak by ci się chciało – Tajemnica kobiety*)
Meiningeńczycy
Doświadczenia rzemieślnicze
Pierwsza reżyserska praca w dramacie (*Płody edukacji*)
Powodzenie we własnych oczach (*Wieś Stiepanczykowo*)
Znajomość z Lwem Tołstojem
Powodzenie u publiczności (*Uriel Akosta*)
Zapał do pracy reżyserskiej (*Polski Żyd*)
Doświadczenia z zawodowymi aktorami
Otello
Zamek w Turynie
Dzwon zatopiony
Znamienne spotkanie
Przed otwarciem Moskiewskiego Teatru Artystycznego
Początek pierwszego sezonu teatralnego
Historyczno-obyczajowy kierunek teatru
Rodzaj fantastyczny
W stronę symbolizmu i impresjonizmu
Kierunek intuicji i uczucia (*Czajka*)
Przyjazd Czechowa (*Wujaszek Wania*)
Wyjazd na Krym

Trzy siostry

Pierwsza podróż do Petersburga

Gościnne występy na prowincji

Morozow i budowa teatru

Kierunek społeczno-polityczny (*Wróg ludu*)

Maksym Gorki (*Mieszczanie*)

Na dnie

Zamiast intuicji i uczucia – kierunek obyczajowy (*Potęga ciemnoty*)

Zamiast intuicji i uczucia – kierunek historyczno-obyczajowy (*Juliusz Cezar*)

Wiśniowy sad

Studio na Powarskiej

Pierwszy wyjazd za granicę

DOJRZAŁOŚĆ ARTYSTYCZNA

Odkrycie dawno znanych prawd

Dramat życia

Ilja Sac i Leopold Sulerzycki

Czarny aksamit

Życie człowieka

Wizyta u Maeterlincka

Miesiąc na wsi

Duncan i Craig

Próby wprowadzenia „systemu” w życie

Pierwsze studio Teatru Artystycznego

Wieczorynki i „Nietoperz”

Aktor musi umieć mówić (*Wieczór puszkinowski*)

Rewolucja

Katastrofa

Kain

Studio operowe Teatru Wielkiego

Wyjazd i powrót

Podsumowanie i przyszłość

PRZEDMOWA DO PIERWSZEGO WYDANIA

PRZEDMOWA DO DRUGIEGO WYDANIA

SŁOWNIK NAZWISK

DZIECIŃSTWO ARTYSTYCZNE

Upór

Urodziłem się w Moskwie w roku 1863 – na przełomie dwóch epok. Pamiętam jeszcze resztki czasów pańszczyźnianych, świece łożowe, lampy karselskie, tarantasy, dormezy, sztafety, strzelby skałkowe i małe armatki podobne do zabawek.

[Karselska lampa – specjalny typ lampy olejnej wynaleziony w r. 1800 przez Francuza Carcela.

Tarantas – obszerny powóz podróżny, którego kryte pudło osadzone było na drągach zamiast na resorach.

Dormez albo dormeza (od fr. *dormir* – spać) – staroświecki powóz podróżny przystosowany do spania.

Sztafeta – specjalnie wysłany posłaniec konny lub wiadomość przesłana przez takiego posłańca.]

W moich oczach powstawały w Rosji linie kolejowe z pociągami pośpiesznymi i statki parowe, pojawiały się reflektory elektryczne, samochody, samoloty, dreadnoughty, łodzie podwodne, telefony zwykłe i bez drutu, telegraf iskrowy, dwunastocalowe działa.

[Dreadnought – wojenny okręt liniowy, silnie opancerzony, zaopatrzony w najcięższą artylerię.]

Tak więc od łożówki – do reflektora elektrycznego, od tarantasu – do samolotu, od żagłówki – do łodzi podwodnej, od sztafety – do telegrafu iskrowego, od skałkówki – do grubej Berty i od prawa pańszczyźnianego – do bolszewizmu i komunizmu. Naprawdę, było to życie urozmaicone, zmieniające się nieraz od podstaw.

Ojciec mój, Siergiej Władimirowicz Aleksiejew, czystej krwi Rosjanin, urodzony w Moskwie, był fabrykantem i przemysłowcem. Matka moja, Jelizawieta Wasiliewna Aleksiejewa, z ojca Rosjanina i matki Francuzki, była córką znanej w swoim czasie artystki paryskiej Varley, która przyjechała na gościnne występy do Petersburga. Varley wyszła za mąż za bogatego właściciela kamieniołomów w Finlandii, Wasilija Abramowicza Jakowlewa, który ufundował aleksandrowską kolumnę na dawnym Placu Dworcowym. Varley wkrótce rozeszła się z mężem, pozostawiając dwie córki: moją matkę i ciotkę. Jakowlew ożenił się po raz drugi z panią B., z matki Turczynki i ojca Greka, i powierzył jej wychowanie swoich córek. Dom ich był prowadzony na stopie arystokratycznej. Wpłynęły na to zapewne dworskie nawyki odziedziczone przez drugą żonę Jakowlewa po matce Turczynce, która była ongiś jedną z żon sułtana. Stary B. wykradł ją z haremu i ukrył w skrzyni, którą nadał na bagaż jako zwykłą przesyłkę. Po wypłynięciu statku na pełne morze skrzynię otworzono i niewolnicę haremu wypuszczono na wolność. Zarówno Jakowlew jak i jej siostra, która wyszła za mąż za mego wuja, lubiły życie światowe: wydawały wystawne bale i obiady.

W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych naszego stulecia w Moskwie i Petersburgu bawiono się hucznie. W ciągu sezonu bale odbywały się codziennie i młodzi ludzie bywali nieraz w dwóch lub trzech domach jednego wieczoru. Pamiętam te bale. Zaproszeni goście przyjeżdżali omal że nie kuligiem, z własną służbą, siedzącą w paradnej liberii na koźle lub stojącą na tylnych stopniach powozów. Przed domem, na ulicy, rozpalano ogniska i rozstawiano poczęstunek dla stangretów. W suterrenach przygotowywano wieczerzę dla przybyłych lokajów. Piękne były stroje i kwiaty. Damy obwieszały brylantami dekolty, a amatorzy szacowania cudzych bogactw oceniali ich wartość. Panie, które ukazały się skromniej ubrane, wśród otaczającego je przepychu czuły się nieszczęśliwe i jakby wstydziły się swego ubóstwa. Bogate zaś nosiły się dumnie i uważały się za królowe balu. Tańce kotylionowe z najwymyślniejszymi figurami, z kosztownymi podarkami i nagrodami dla

tańczących, trwały po pięć godzin bez przerwy. Najczęściej bale kończyły się nad ranem następnego dnia i młodzi ludzie, przebrawszy się, wprost z balu udawali się do pracy, do biur i urzędów.

Rodzice moi nie lubili życia światowego i bywali na przyjęciach tylko w wyjątkowych wypadkach. Byli domatorami. Matka spędzała życie w pokoju dzieciennym, całkowicie poświęciwszy się wychowaniu dzieci, których miała dziesięcioro.

Ojciec mój do dnia swego ślubu sypiał we wspólnym łóżu z moim dziadkiem znanym ze swego patriarchalnego trybu życia opartego na dawnych obyczajach, przejętych od pradziadka, jarosławskiego chłopca ogrodnika. Po ślubie ojciec przeniósł się do swego małżeńskiego łóża, w którym sypiał do końca życia. W nim też zmarł.

Rodzice moi kochali się wzajemnie, zarówno w młodości, jak i na starość. Kochali również swe dzieci i dbali o jak najbliższe z nimi współżycie. Z okresu najwcześniejszego dzieciństwa najlepiej pamiętam moje własne chrzciny, odtworzone oczywiście w wyobraźni na podstawie opowiadań niani. Inne żywe wspomnienie z odległej przeszłości wiąże się z moim pierwszym występem na scenie. Było to na letnisku w majątku Lubimowka, odległym o trzydzieści wiorst od Moskwy, przy stacji Tarasowka, na linii kolei jarosławskiej. Przedstawienie odbywało się w niewielkiej oficynie stojącej na podwórzu dworskim. Pod sklepieniem na wpół rozwalonego domku urządzono małą scenkę z kurtyną zrobioną z koców. Wystawiono zgodnie ze zwyczajem żywe obrazy pt. *Cztery pory roku*. Ja, mając wówczas trzy czy cztery lata, uosabiałem zimę. Jak zwykle przy tego rodzaju przedstawieniach, ustawiono pośrodku sceny niewielką choinkę, obsypaną płatkami waty. Ubrany w szubkę, w czapce futrzanej na głowie, z przyczepioną długą brodą i wąsami, które wciąż podjeżdżały mi do góry, siedziałem na ziemi, nie bardzo wiedząc, w którą stronę powinienem patrzeć i co mam robić. Prawdopodobnie już wówczas doznawałem owego uczucia skrępowania, które powstaje podczas bezmyślnej beczynności na scenie, a którego jeszcze i dziś na deskach scenicznych najwięcej się boję. Po oklaskach, które bardzo mi się podobały, ustawiono mnie na bis w innej pozie. Zapalono świecę ukrytą w ułożonym przede mną chruście, wyobrażającym ognisko, a do ręki dano mi patyczek, który miałem niby to wsuwać do ognia.

– Rozumiesz? – tłumaczono mi. – Tylko na niby, nie naprawdę.

Przy tym jak najsurowiej zabroniono mi zbliżyć patyk do świecy. Wszystko to wydawało mi się pozbawione sensu. „Dlaczego na niby, jeżeli mogę patyk naprawdę rzucić do ogniska?”

Nie zdążono jeszcze rozsunąć kurtyny na bis, gdy z wielkim przejęciem i zaciekawieniem wyciągnąłem rękę z patykiem do świecy. Wydawało mi się, że była to zupełnie naturalna i logiczna czynność, która miała sens. Jeszcze naturalniejsze było to, że wata zapłonęła i wybuchł pożar. Powstało ogólne zamieszanie, rozległy się krzyki. Porwano mnie na ręce i zaniecono przez dziedziniec do domu, a ja gorzko płakałem.

Od tego wieczoru żyją we mnie do dziś dwa uczucia: z jednej strony radość, jaką daje powodzenie oraz sensowne przebywanie i działanie na scenie, z drugiej – ból doznanej porażki, krępujące poczucie beczynności i bezmyślnego trwania na oczach gromady widzów.

A więc pierwszy mój występ skończył się niepowodzeniem, a spowodował je mój upór, który niekiedy, zwłaszcza we wczesnym dzieciństwie, dochodził do wielkiego napięcia. Ten wrodzony upór miał zarówno zły, jak i dobry wpływ na moje życie artystyczne. Dlatego właśnie o nim wspominam. Kosztował mnie wiele walk. Zachowałem o nich żywe wspomnienie.

Kiedyś we wczesnym dzieciństwie zbyt kowałem podczas śniadania i ojciec zwrócił mi uwagę. Odpowiedziałem mu bez złości, lecz niegrzecznie, nie zastanawiając się nad tym, co mówię. Ojciec wyśmiał mnie. Nie wiedząc, co odpowiedzieć, zmieszałem się i rozgniewałem

sam na siebie. Aby ukryć zawstydylenie i dowieść, że nie boję się ojca, odpowiedziałem bezsensowną pogroźką. Sam nie wiem, jak mi się to wyrwało:

– A ja cię do cioci Wiery nie puszcze!

– Jakież to niemądre! – powiedział ojciec. – Jakżeż możesz mnie nie puścić?

Gdy zrozumiałem, że mówię głupstwa, bardziej jeszcze rozgniewałem się na siebie, straciłem humor i sam nie wiem, jak znów powtórzyłem z uporem:

– A ja cię do cioci Wiery nie puszcze!

Ojciec wzruszył ramionami i milczał. Wydało mi się to obraźliwe. Nie chcąc ze mną rozmawiać! W takim razie im gorzej, tym lepiej!

– A ja cię do cioci Wiery nie puszcze! A ja cię do cioci Wiery nie puszcze! – uporczywie i niemal beczelnie powtarzałem te same słowa w różny sposób i na różne tony.

Ojciec kazał mi zamilknąć i właśnie dlatego powtórzyłem wyraźnie:

– A ja cię do cioci Wiery nie puszcze!

Ojciec dalej czytał gazetę, lecz jego wewnętrzne rozdrażnienie nie uszło mej uwagi.

– A ja cię do cioci Wiery nie puszcze! A ja cię do cioci Wiery nie puszcze! – powtarzałem natrętnie i z tępym uporem nie będąc już w możliwości przeciwstawić się złej sile, która mnie ponosiła. Gdy poczułem, że nie potrafię jej opanować, zacząłem się jej bać.

– A ja cię do cioci Wiery nie puszcze! – powiedziałem znów po chwili, wbrew woli i już nie panując nad sobą.

Ojciec począł mi grozić, a ja coraz głośniejszym i uporczywiejszym, jak gdyby siłą rozpędu, powtarzałem to samo niemądre zdanie. Ojciec stuknął palcem w stół, a ja powtórzyłem jego gest razem z uprzykrzonym zdaniem. Ojciec wstał, ja również, ale powtarzać mego refrenu nie przestałem. Ojciec zaczął niemal krzyczeć (co mu się nigdy nie zdarzało), ja uczyniłem to samo drżącym głosem. Ojciec pohamował się i przemówił łagodnie. Pamiętam, że mnie to bardzo wzruszyło i chciałem już ustąpić, lecz mimo woli powtórzyłem swoje zdanie również łagodnym tonem, przez co nabrało odcienia szyderstwa. Ojciec uprzedził, że postawi mnie do kąta. Naśladując jego ton, powtórzyłem swój frazes.

– Nie dostaniesz obiadu – powiedział nieco surowiej ojciec.

– A ja cię do cioci Wiery nie puszcze! – już z rozpaczą mówiłem tonem ojca.

– Kostia, pomyśl, co ty robisz! – krzyknął ojciec rzucając gazetę na stół.

Poczułem przypływ jakiegoś złego uczucia, pod którego działaniem rzuciłem serwetkę i wrzasnąłem na całe gardło:

– A ja cię do cioci Wiery nie puszcze!

„Przynajmniej prędkiej się to skończy” – pomyślałem.

Ojciec uniósł się, wargi mu zadrżały, lecz natychmiast opanował się i szybko wyszedł z pokoju rzuciwszy okropne słowa:

– Nie jesteś moim synem.

Skoro tylko zostałem sam jako zwycięzca, całe szaleństwo natychmiast mnie opuściło.

– Tatusiu, przebacz, już nie będę! – wołałem zalewając się łzami. Lecz ojciec był daleko i nie słyszał mojej skruchy.

Pamiętam jak dziś wszystkie duchowe odmiany mego ówczesnego dziecięcego uniesienia i przy tych wspomnieniach znów czuję ściskający ból serca.

Innym razem w podobnym wybuchu uporu zostałem zwyciężony. Pewnego dnia przy obiedzie zacząłem chęłpić się mówiąc, że nie będę się bał wyprowadzić z ojcowskiej stajni Karego, bardzo narowistego konia.

– O, to świetnie – zażartował ojciec. – Po obiedzie ubierzemy cię w szubkę, walonki i pokażesz nam swoją nieustraszoną.

– A właśnie ubiorę się i wyprowadzę! – upierałem się.

Bracia i siostry rozpoczęli ze mną sprzeczkę i twierdzili, że jestem tchórzem. Na dowód przytaczali kompromitujące mnie fakty. W miarę jak nieprzyjemnie demaskowany odczuwałem zażenowanie, z tym większym uporem powtarzałem:

– A właśnie... że się nie boję. I – wyprowadzę!

Upór mój znów zaszedł tak daleko, że trzeba było dać mi nauczkę. Po obiedzie przyniesiono szubkę, boty, baszłyk i rękawiczki; ubrano mnie, wyprowadzono na podwórze i pozostawiono samego, niby to czekając na moje pojawienie się z Karym przed frontowym wejściem. Ze wszystkich stron otaczała mnie głęboka ciemność.

[Baszłyk – wełniane nakrycie głowy w postaci kapiszona spadającego aż na plecy; pochodzenia tureckiego.]

Wydawała mi się jeszcze głębsza w zestawieniu ze światłem dużych okien salonu na piętrze, skąd, zdaje się, obserwowano mnie. Znieruchomiałem, mocno przygryzłem rękę przez rękawiczkę, ażeby wysiłek i ból odwróciły moją uwagę od wszystkiego, co mnie otaczało. Niedaleko ode mnie zaskrzypiały czyjeś kroki, zgrzytnęła klamka, stuknęły drzwi. Najpewniej stangret poszedł do stajni, do tego Karego, którego obiecałem wyprowadzić. Wyobraziłem sobie olbrzymiego karego konia, bijącego kopytami ziemię, stojącego dęba, gotowego rzucić się naprzód i porwać mnie ze sobą jak zeschły wiór. Oczywiście, gdybym sobie wyobraził taki widok wcześniej, podczas obiadu, nie zacząłbym się przechwalać. Lecz wówczas tak mi się jakoś samo powiedziało, a odwołać tego nie chciałem – było mi wstyd. Dlatego się uparłem. Filozofowałem zaś w ciemnościach raczej dlatego, aby się rozerwać, nie rozglądać i nie myśleć o otaczającym mnie mroku.

„Będę stał długo, tak długo, aż zaczną niepokoić się i sami przyjdą mnie szukać” – zdecydowałem.

Ktoś krzyknął załóżnie, zacząłem wsłuchiwać się w dochodzące mnie odgłosy. Ileż ich było! A jeden straszniejszy od drugiego. Ktoś się skrada. Blisko. Pies? Szczur? Zrobiłem kilka kroków w kierunku wnęki, która była przede mną w ścianie. W tejże chwili coś bardzo głośno huknęło. Co to? Znów? I jeszcze raz? I tak blisko?... Pewnie Kary wali kopytami w drzwi stajni albo powóz przejechał wyboistą ulicą. A cóż to za syk?... I gwizd?... Zdawało się, że wszystkie straszliwe odgłosy, które mogłem sobie wyobrazić, nagle ożyły i szalały wokół mnie.

– Ach! – krzyknąłem i odskoczyłem w najdalszy kąt wnęki. Coś schwyciło mnie za nogę. Był to pies podwórzowy, Roska, najlepszy mój przyjaciel. Teraz jesteśmy we dwóch. Nie jest już tak strasznie. Wziąłem go na ręce – zaczął mi lizać twarz brudnym językiem. Ciężka, niewygodna, ciasno przewiązana baszłykiem szuba nie pozwalała mi uchronić twarzy od psich pieszczot. Odsunąłem pysk psa; Roska ułożyła się w moich ramionach do snu, ogrzała się i ucichła. Ktoś szybko wychodził z bramy. Czy to po mnie? I serce zabiło mi mocniej. Nie, przeszli do izby dla stangretów.

„Pewno im teraz wstyd. Wyrzucili mnie, małego, w taki ziąb z domu... Tak, jak to bywa w bajce... Nie zapomnę im tego.”

Z domu dochodziły przytłumione dźwięki fortepianu.

„To brat gra?! Jak gdyby nigdy nic. Grają! A o mnie zapomnieli! Jak długo mam więc stać tutaj, żeby sobie wreszcie o mnie przypomnieli?” Ogarnął mnie strach i zapragnąłem czym prędzej znaleźć się w salonie, w cieple, przy fortepianie.

„Dureń ze mnie, dureń! Też wymyśliłem! Wyprowadzić Karego! Bałwan jestem” – wymyślałem sobie i złościłem się zrozumiałwszy cały bezsens sytuacji, z której – zdawało się – nie było wyjścia.

Brama zgrzytnęła, zatętniły kopyta koni, zaskrzypiały koła po śniegu. Ktoś podjechał pod ganek. Trzasnęły drzwi frontowe, karetka wolno wjechała w podwórze i zaczęła zawracać.

„Cioteczne siostry – przypominałem sobie. – Spodziewano się ich tego wieczora. Teraz za nic nie wrócę do domu. Przyznać się przy nich do swego tchórzostwa!”

Przyjezdny stangret zapukał w okno, nasi stangreci wyszli, rozpoczęła się głośna rozmowa, potem otworzono szopę i wprowadzono konie.

„Pójdę do nich i poproszę, żeby mi dali Karego. Oni mi go nie dadzą – wtedy wrócę do domu i powiem, że nie dali; będzie to prawda i zręczne wyjście z sytuacji.”

Myśl ta ożywiła mnie. Puściłem Roskę i zamierzałem pójść do stajni.

„Żeby tylko przejść przez to wielkie, ciemne podwórze!” – Zrobiłem krok naprzód i zatrzymałem się, gdyż właśnie wjechała w podwórze dorożka i bałem się, żeby po ciemku nie wpaść pod konia. W tej chwili zdarzył się wypadek, sam nie wiem jaki, gdyż w ciemnościach trudno było się zorientować. Prawdopodobnie konie, postawione z kareta w szopie i uwiązane, najpierw zaczęły rzeć, potem stukać kopytami i wreszcie wierząć. Koń dorożkarski, jak mi się zdawało, też szalał. Ktoś, zdaje się, nie mógł dać sobie rady z zaprzęgiem na podwórzu. Wybiegli stangreci i krzyczeli: „Prr, stój, trzymaj, nie puszczaj...”

Co było dalej – nie pamiętam. Stałem przy wejściu frontowym i dzwoniłem. Natychmiast wyszedł portier i wpuścił mnie. Prawdopodobnie przez cały czas był w pogotowiu i czekał na mnie. W drzwiach przedpokoju mignęła mi postać ojca, a z góry obserwowała mnie guwernantka. Nie rozbierając się usiadłem na krześle. Moje przyjście do domu było nieoczekiwane dla mnie samego i nie mogłem się jeszcze zdecydować, co mam uczynić: trwać nadal w uporze i zapewniać, że niby przyszedłem po to tylko, aby się ogrzać i znów pójść do Karego, czy przyznać się po prostu do tchórzostwa i poddać się. Byłem tak z siebie niezadowolony z powodu okazanej przed chwilą słabości charakteru, że straciłem wiarę w rolę śmiałka i bohatera. Poza tym nie miałem już przed kim odgrywać komedii, gdyż wszyscy jak gdyby o mnie zapomnieli.

„Tym lepiej, zapomnę i ja. Rozbiorę się, trochę poczekam i pójdę do salonu.”

Tak też uczyniłem. Nikt nie zapytał mnie o Karego – prawdopodobnie tak się umówili.

Cyrk

Jeszcze głębiej wryły mi się w duszę wspomnienia związane z późniejszymi wrażeniami dziecięcymi. Dotyczą one dziedziny artystycznych potrzeb i przeżyć. Wystarczy, że wskrzeszę w pamięci okoliczności minionego dzieciństwa i znów, jakby odmłodzony, doznaję znanych mi uczuć.

Oto przeddzień i ranek dnia świątecznego: przed nami dzień swobody. Z rana można pospać dłużej, a potem – dzień pełen wielu radości; są one niezbędne dla podtrzymania energii w nadchodzącym długim szeregu dni szkolnych i nudnych wieczorów. Natura pożąda świątecznego wesela, każdy, kto w tym przeszkadza, budzi w nas złość i nieprzyjemne uczucia; kto te prawa uznaje, spotyka się z tkliwą wdzięcznością.

Przy śniadaniu dowiadujemy się od rodziców, że trzeba dzisiaj złożyć wizytę ciotce (nudnej jak wszystkie ciotki) lub co gorsza, że po śniadaniu przyjdą do nas goście – nielubiani przez nas bracia i siostry cioteczne. Drętwiejemy z wrażenia i jesteśmy zmieszani. Z takim wysiłkiem dociągnęliśmy do wolnego dnia, a odebrano go nam i stworzono nudny dzień powszedni! Jak dotrwać do następnego święta?

Skoro dzień dzisiejszy jest stracony, jedyną nadzieją jest dla nas wieczór. Kto wie, może ojciec, który najlepiej rozumie potrzeby dzieci, już zatroszczył się o łożę do cyrku lub chociażby na balet, albo – w najgorszym razie – na operę. No, niechby chociaż na dramat... Biletami do cyrku rozporządzał administrator domu. Zaczyna się wywiad – gdzie on może być. Wyjechał? Dokąd? W prawo czy w lewo? Czy stangreci otrzymali rozkaz oszczędzania bituogów (typ cięższego konia zaprzęgowego)? Jeżeli otrzymali, to dobry znak. Oznaczałoby to, że będzie potrzebna duża, czteroosobowa kareta, którą dzieci jeżdżą do teatru. Jeżeli zaś konie były zajęte w ciągu dnia, to znaczy, że nie będzie ani cyrku, ani teatru.

Lecz administrator powrócił, wszedł do gabinetu, wyjął coś z portfela i oddał ojcu. Ale co to jest? Pilnujemy. Jak tylko ojciec wyjdzie z gabinetu – my zaraz do biurka. Lecz nie znajdujemy nic prócz nudnych, urzędowych papierów. Markotniejemy. A jeśli zauważymy żółty lub czerwony paperek – bilet do cyrku – wtedy serce bije tak mocno, że słysząc jego uderzenia i wszystko dokoła promienieje. Wówczas i ciotka, i cioteczny brat nie wydają się już tak nudni. Przeciwnie, jesteśmy uprzejmi dla gości, aby wieczorem, podczas obiadu, ojciec mógł powiedzieć:

– Dzisiaj chłopcy tak ładnie przyjmowali gości, tacy byli grzeczni dla ciotki, że można sprawić im niewielką (a może nawet i wielką!) przyjemność. Jak myślicie, jaką?

Czerwoni ze wzruszenia, z kęskami jedzenia, które utkwiły w gardle, czekamy, co będzie dalej.

Ojciec sięga w milczeniu do bocznej kieszeni, szuka tam czegoś spokojnie i powoli i... nie znajduje. Dłużej nie możemy już czekać, wstajemy od stołu, podbiegamy do ojca, otaczamy go, a guwernantka strofuje nas surowo:

– *Enfants, écoutez donc ce qu'on vous dit. On ne quitte pas sa place pendant le diner* [Dzieci, słuchajcie, co się do was mówi. Nie wstaje się od stołu podczas obiadu (fr.).]

Tymczasem ojciec sięga do drugiej kieszeni, wyciąga portmonetkę, zwolna wywraca kieszenie – ale nic nie znajduje.

– Zgubiłem – mówi grając bardzo naturalnie swoją rolę.

Krew ucieka nam nagle z policzków aż do pięt. Już nas prowadzą i sadzają na miejsca. Ale my nie odrywamy oczu od ojca. Spoglądamy na braci i kolegów, sprawdzamy nasze wrażenia: czy to żart, czy prawda? Lecz ojciec wyciągnął coś z kieszeni kamizelki i mówi uśmiechając się chytrze:

– Jest. Znalazłem! – i wymachuje w powietrzu czerwonym biletem.

Wtedy nikt nie jest w stanie nas utrzymać. Zrywamy się od stołu, tańczymy, tupiemy nogami, wymachujemy serwetkami, obejmujemy ojca, wieszamy mu się na szyi, całujemy czule i przymilamy się.

Od tej chwili zaczynają się nowe troski: oby tylko się nie spóźnić!

Połykamy jedzenie nie gryząc go, nie możemy się doczekać końca obiadu, potem biegniemy do dzieciennego pokoju, zdejmujemy codzienne ubrania i z namaszczeniem wkładamy odświeżne kurtki. A potem siedzimy i czekamy z niepokojem, żeby się ojciec nie spóźnił. Lubi bowiem zdrzemnąć się przy kawie w opustoszałym pokoju. Jakby go tu obudzić? Chodzimy, tupiemy nogami, to zrzucimy niby niechący jakiś przedmiot albo krzyknijemy coś w sąsiednim pokoju, jak gdybyśmy nie wiedzieli, że ojciec znajduje się obok. Lecz ojciec ma mocny sen.

– Spóźnimy się! Spóźnimy! – wołamy podbiegając co chwila do wielkiego zegara. – Na uverturę nie zdążymy, to jasne.

Opuścić uverturę cyrkową! Czyż to nie zbyt wielka ofiara?

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI